Maciej IŁOWIECKI

UKRYCI DEPRAWATORZY

Wolność słowa i niezależność prasy nie są czymś tożsamym i tylko te dwie wolności połączone ze sobą są gwarancją rozwoju demokracji. [...] Wolność słowa może być pełna tylko w nierozerwalnym związku z odpowiedzialnością za słowo.

Trudno przecenić znaczenie i rolę środków społecznego przekazu (czyli mediów) we współczesnych państwach, w całej nowoczesnej cywilizacji. Znacznie łatwiej tej roli nie docenić i nie rozumieć. Jestem zdania, że polskie elity polityczne czasu „przedwiośnia" roli prasy, radia i telewizji nie doceniły i nie rozumieją dotąd (poza chwalebnymi wyjątkami, jak zawsze).

Proszę Czytelników o wybaczenie, ale muszę zacząć od prawd oczywistych. Pierwsza prawda: demokracja nie może istnieć bez wolności słowa, bez wolności informacji bez niezależnej prasy (ważne są po równi wszystkie trzy warunki, a zwykle tylko pierwszy uznaje się za wystarczający). Trzeba powiedzieć nawet więcej – wszelki rozwój społeczny, kulturalny, polityczny i gospodarczy jest nierozerwalnie związany z dostępem do informacji i z jakością mediów.

Druga prawda: najskuteczniejszą metodą zniewalania ludzi i walki z wartościami jest ujarzmienie słowa, manipulacja informacją i uzależnienie mediów od jakiegoś ośrodka sterującego.

Otóż te dwie prawdy, te dwa bieguny najlepiej określają drogę, którą muszą przebyć polskie media i polscy dziennikarze. Jesteśmy dopiero na początku tej drogi, przeszkód na niej mnóstwo, rozwidleń prowadzących donikąd jeszcze więcej, a przewodników brak.

Sytuację polskich środków przekazu na początku lat dziewięćdziesiątych wyznaczają czynniki od nas (mam na myśli „obóz reform") niezależne. Są to przede wszystkim – zastany stan mediów, odziedziczony po systemie pezetpeerowskim, oraz konieczny i kierujący się własnymi regułami proces ich tzw. urynkowienia. Ale sytuację obecną określają też czynniki zależne od nas – czyli wszystkie błędy i zaniechania popełnione przez nowe już rządy (nowe elity polityczne) w trakcie przekształcania mediów.

Sądzę, iż dla zrozumienia dzisiejszego stanu mediów potrzebne jest krótkie przypomnienie historii ich przemian i najważniejszych błędów, które popełniono.

Głównymi instrumentami kontroli PZPR nad mediami były cenzura i koncern zwany Robotniczą Spółdzielnią Wydawniczą „Prasa-Książka-Ruch" (tzw. popularnie RSW „Prasa"). Liberalizacja cenzury nastąpiła w maju 1989 r., ale ustawę o cenzurze uchylono dopiero 11 IV 1990 r. W okresie pomiędzy tymi dwiema datami zresztą cenzura nie spełniała już swej ponurej roli. Natomiast do rozbicia RSW „Prasy" przystąpiono co najmniej o pół roku za późno. Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich już w sierpniu 1989 r. postulowało rozbicie koncernu i uchronienie majątku prasy przed roztrwonieniem, a także powołanie Rady Prasowej, która powinna była opracować koncepcje nowego ładu informacyjnego w Polsce. Ustawę o likwidacji RSW „Prasy" Sejm uchwalił dopiero 22 III 1990 r., Rady Prasowej nie ma dotąd (marzec 1992). Opóźnienie pozwoliło umocnić się starym strukturom w świecie mediów, umożliwiło też postpezetpeerowcom opracowanie taktyki najlepszego zabezpieczenia wpływów na przyszłość. Jednak nie tylko opóźnienie było wielkim, politycznym błędem. Sama „ustawa o likwidacji" była od początku źle przygotowana (wzorowana na równie niedobrej „ustawie o spółdzielczości"). Projekt ustawy skrytykowały odpowiednie komisje Sejmu i Senatu, protest złożyło SDP. Sam tytuł zresztą – „o likwidacji" – wskazywał, iż mało troszczono się o to, jakie mają być nasze media po likwidacji koncernu. W każdym razie ustawa dawała bardzo różne możliwości interpretacyjne i nie chroniła mediów przed przejmowaniem ich przez ludzi dawnego systemu.

Wszystko miało teraz zależeć od Komisji do Spraw Likwidacji RSW „Prasy", którą ówczesny premier T. Mazowiecki powołał w kwietniu 1990 r. w sposób arbitralny, bez konsultacji z SDP i bez uwzględnienia naszych postulatów personalnych i innych (premier nie miał formalnego obowiązku takiego konsultowania się). Komisja złożona z siedmiu osób otrzymała w praktyce ogromną władzę: możność dysponowania ważnymi instrumentami politycznymi (jakimi są gazety) i ogromnym majątkiem (także potencjalnym, w postaci wielkonakładowych tytułów). Nawet gdyby Komisja złożona była z geniuszy i aniołów, nie mogła rozwiązać wszystkich gordyjskich węzłów... Kryteria działania tej Komisji nie były zresztą nigdy wystarczająco wyraziste, nie istniała też w praktyce żadna kontrola społeczna nad jej działalnością (teoretycznie decyzje Komisji zatwierdzała Rada Ministrów, Komisja zaś konsultowała się – wedle chęci – ze stowarzyszeniami dziennikarskimi, ale nie musiała uwzględniać ich postulatów). Nic dziwnego, że wokół Komisji do Spraw Likwidacji rozszalało się piekło interwencji i nacisków politycznych.

Po powołaniu Komisji aż dziewięć miesięcy trwało opracowywanie, a potem zatwierdzanie przez Radę Ministrów „planu zagospodarowania majątku Spółdzielni" (tj. byłej RSW „Prasy"). 29 X 1990 r. T. Mazowiecki podpisał tę uchwałę rządu – do tego czasu działo się bardzo niewiele (pozy-

tywnego) albo właśnie działo się wiele (złych rzeczy). Przez ten czas (półtora roku od chwili, kiedy wiadomo było, że koncern musi być zlikwidowany) ludzie związani z dawnym reżimem zdołali „zagospodarować" sporo mienia polskiej prasy i przygotować się do przejęcia wielu tytułów.

W listopadzie 1990 r. było już pewne, że tytuły wraz z ich majątkiem i redakcjami zostaną sprzedane na przetargach. Ze względu na słabość polskiego kapitału, do przetargów startowały przede wszystkim zagraniczne koncerny prasowe. Mimo licznych interwencji SDP nie dokonano odpowiedniej, profesjonalnej analizy ekonomicznej, politycznej i zawodowej tych koncernów. Nie było więc jasne, który z nich z punktu widzenia polskich interesów jest najlepszy. W pewnej mierze to samo zresztą dotyczyło polskich spółek sięgających po prasę (do dziś przecież nikt nie ma rozeznania w prawdziwym charakterze wielu takich spółek).

SDP przygotowało kryteria przetargowe i uzyskało dla nich wsparcie komisji sejmowej. Po pewnych oporach, Rada Ministrów uznała te kryteria. Przypomnę je dla porządku; otóż SDP zaproponowało, by w przetargach brano pod uwagę:

1. Polityczny interes państwa.
2. Uniemożliwienie monopolizacji prasy przez jakiś koncern, grupę interesów czy jeden nurt polityczny.
3. Ochronę tytułów zasłużonych dla polskiej kultury, oświaty czy nauki.
4. Ochronę pracowniczych interesów dziennikarzy i zespołów redakcyjnych.
5. Potrzebę technicznego i organizacyjnego unowocześnienia polskich mediów (czyli inwestycje).

Do kryteriów zaproponowanych przez SDP Rada Ministrów dodała jeszcze jedno kryterium – mianowicie „użyteczności społecznej" oferty przetargowej. Dało to Komisji możliwość uzasadnienia dowolnej decyzji w sprawie wyboru oferty. Decyzje te Komisja podejmowała niejawnie i mogła, ale nie musiała uwzględniać opinii stowarzyszeń dziennikarskich.

Jestem pewien, że Komisja podejmowała decyzje w dobrej wierze i z rozeznaniem możliwym w takiej sytuacji. Niemniej tak wielkiej wagi impreza polityczna, jaką były przetargi polskiej prasy, nie została poddana wystarczającej kontroli społecznej ani też nie mogła być dobrze przygotowana. Powyższe stwierdzenie jest naturalnie moją oceną – opinie instytucji i ludzi odpowiedzialnych za te sprawy są oczywiście inne.

W każdym razie polska prasa została już rozdysponowana (sprzedana, oddana spółdzielniom dziennikarskim lub – nieliczne tytuły – przekazana Skarbowi Państwa). Obecna zatem sytuacja własnościowa polskiej prasy jest efektem działalności Komisji Likwidacyjnej, kończącej w tym roku pracę. Owa sytuacja – jak wspomniałem – wzbudza zasadnicze zastrzeżenia SDP, a także wielu polityków i samych dziennikarzy – i będzie jeszcze źródłem

napięć, sporów, a nawet procesów sądowych. Nie rozwijam tego tematu ze względu na objętość tekstu. Mogę tylko powtórzyć ocenę ogólną: niezależnie od intencji Komisji Likwidacyjnej, nie udało się w sposób wystarczający przeciwdziałać opanowaniu tytułów polskiej prasy przez ludzi związanych z poprzednim systemem. Obecnie więc stanowczo zbyt wiele tytułów kontrolowanych jest przez siły starego porządku i ma to oczywiste konsekwencje społeczne i polityczne.

Wydaje się, że charakteryzując obecny stan polskich mediów, można postawić następujące tezy (nie spierając się już o to, kto i dlaczego dopuścił do takiego stanu i czy mogło być inaczej):

1. Polityczna dyspozycja polskimi mediami (czy skromniej – polityczne w nich wpływy) jest wyraźnie nieproporcjonalna (nieadekwatna) do politycznej mapy polskiego społeczeństwa. Zapewne nie można mówić o czyimkolwiek monopolu (choć niebezpieczeństwo monopolizacji politycznej nie ustąpiło!), niemniej jednak istnieje wyraźna przewaga dwóch nurtów, dwóch grup. Przewagę taką mają grupy związane rodowodowo i personalnie z obozem pezetpeerowskim (który zmienił częściowo oblicze, ale nie zmieniły się jego interesy grupowe) i nurt, który umownie można nazwać nurtem „Gazety Wyborczej" lub, jak kto woli, nurtem nowej lewicy (ścisłe związki ideowe i personalne z Unią Demokratyczną).

Być może nie istnieje na świecie prasa, w której wpływy polityczne rozłożone byłyby równomiernie. Jednak rozmiar i charakter wpływów postpezetpeerowskich w polskiej prasie Anno Domini 1992 oceniam jako bardzo niebezpieczne dla stanu świadomości społecznej i dla budowy rzeczywistej demokracji (a nie jej pozorów). W nurcie zaś „nowej lewicy" nie dostrzegam właściwej przeciwwagi dla tamtych wpływów, przeciwnie – widzę zbyt często „wspólnotę opiniotwórczego działania" i uważam to za zjawisko niepokojące.

2. Mamy dziś wprawdzie pełną wolność słowa (choć bardziej praktyczną, niż usankcjonowaną prawem), w tym również absolutną wolność dla wrogów wolności, jednak media wpadają w nowy system zależności (politycznej i rynkowej).

Przy okazji trzeba raz jeszcze zwrócić uwagę, że wolność słowa i niezależność prasy nie są czymś tożsamym i że tylko te dwie wolności połączone ze sobą są gwarancją rozwoju demokracji. „Wolność słowa" – to pojęcie rozumie każdy. „Niezależność prasy" – tu chodzi o możliwą niezależność od władzy, od grup interesu, od partii politycznych i wreszcie od właścicieli (jak złośliwie zauważył pewien amerykański publicysta: „prasa bywa wolna dla facetów, którzy nią dysponują").

Jest oczywiście kwestią dyskusyjną, w jakim stopniu prasa czy telewizja mogą być niezależne i co jest miarą tej niezależności. Niemniej wszyscy

doskonale wiedzą, że stopnie swobody, granice uzależnienia – mogą być i są w świecie bardzo różne.

Jest dla mnie zatem szczytem obłudy twierdzenie (tak często dziś lansowane), że niezależność prasy jest mitem. Natomiast jest prawdą dowiedzioną, że warunkiem sine qua non demokracji jest możliwie największa niezależność prasy. Niezależność ta opiera się przede wszystkim na „wewnętrznej wolności" samych dziennikarzy i na ich rzetelności zawodowej.

Z tego punktu widzenia ocena polskiego środowiska dziennikarskiego nie może jednak wypaść dobrze i dlatego budowanie rzeczywistej niezależności prasy jest w Polsce wyjątkowo trudne.

3. Mamy wprawdzie – powtórzę – pełną wolność słowa, ale wciąż nie ma u nas odpowiedzialności za słowo.

Wolność słowa (w starych demokracjach traktowana jak powietrze – wiadomo, że niezbędne do życia, ale na co dzień niezauważalne) – otóż wolność słowa może być pełna tylko w nierozerwalnym związku z odpowiedzialnością za słowo. W państwach demokratycznych odpowiedzialność za słowo wymagana jest po prostu przez prawo – inaczej mówiąc (w brutalnym skrócie!) w systemie demokracji kłamstwo i potwarz nie opłacają się. U nas się wciąż opłacają, a człowiek opluty przez nieuczciwych dziennikarzy ma nikłe szanse obrony.

Brak odpowiedzialności za słowo polega także na tym, iż niewiele jest redakcji, które nigdy nie manipulują informacjami, zawsze obiektywnie przedstawiają poglądy i działania ludzi i grup o odmiennych przekonaniach i wyraźnie oddzielają informacje od komentarzy i opinii (tj. oddzielają opis rzeczywistości od interpretacji rzeczywistości). Brak odpowiedzialności za słowo polega również na tym, że nie bierze się pod uwagę skutku, jaki konkretna informacja wywiera na społeczeństwo, na ludzi. Inaczej mówiąc, wolność informacji nie usprawiedliwia sama przez się wszelkich metod i wszelkich informacji.

4. Nowe elity władzy, politycy, osoby pełniące funkcje publiczne zdają się nie rozumieć istoty mediów, roli prasy i dziennikarzy. W wolności informacji bowiem mieści się prawo do bycia informowanym i do możliwie najpełniejszej jawności życia publicznego i jawności działania wszystkich instytucji publicznych i osób pełniących funkcje publiczne (urzędowe lub tym bardziej z wyboru).

Istnieje dziś zatem w Polsce (jak w każdej zresztą demokracji) wyraźny konflikt pomiędzy politykami i dziennikarzami – tyle że u nas jest to konflikt nowy, nie poparty żadnym doświadczeniem i nie regulowany obyczajem ani prawem.

Można w tym miejscu dodać, że politycy i instytucje w Polsce pojmują dziś wolność informacji jako możliwość wyrażania w mediach (zwłaszcza w TV) własnych opinii i poglądów i jako dostęp do mediów. Zapominają o

drugiej stronie – o prawie do zapoznania się z opiniami innych, o prawie dziennikarzy do informacji i wreszcie o prawie do przekazu informacji na temat działań polityków, ich zachowań i wypowiedzi.

5. Teza ostatnia dotyczy telewizji: w ciągu dwuletnich rządów „obozu reform" nie zdołano przekształcić polskiej telewizji w instytucję użyteczności publicznej, co więcej, nadal nie ma powszechnie akceptowanej koncepcji, jak należy to zrobić, choć na ogół dobrze wiadomo, czego nie zrobiono. W każdym razie telewizja i radio nie wyzbyły się niektórych dawnych przyzwyczajeń, ukształtowanych w systemie propagandy totalitarnej. Wszelkie manipulacje informacją i nieobiektywizm, nierzetelność lub po prostu szerzenie złych wzorów w życiu publicznym – w telewizji stają się szczególnie groźne. Oczywiste jest bowiem, że właśnie telewizja (w mniejszym stopniu radio) ma najpotężniejszą możliwość działania na świadomość społeczną, kształtowania powszechnych opinii politycznych i innych, wreszcie – co bodaj najistotniejsze – telewizja ma największy wpływ na kształtowanie u ludzi stosunku do wartości. Możliwości upowszechniania kultury, oświaty, w ogóle wiedzy, są równie oczywiste.

Ze względu na tę właśnie najwyższą odpowiedzialność telewizji, ogromnego znaczenia nabiera ethos jej pracowników, zwłaszcza dziennikarzy.

Na tle wyżej zarysowanej sytuacji w naszych mediach chciałbym przedstawić główne – moim zdaniem – zagrożenia, sprzeczności i dylematy w sferze komunikacji społecznej w Polsce.

Za największe niebezpieczeństwo uważam:

1. Upadek ethosu dziennikarzy (albo, co na jedno wychodzi, nieodbudowywanie tego ethosu po zniszczeniach czasów totalitaryzmu). O ile dawniej głównym grzechem była dyspozycyjność wobec wymogów propagandy i stała gotowość do kłamstw, o tyle dziś jest nim nieobiektywność, lekceważenie podstawowych zasad profesjonalizmu, płytkość i niedouczenie (czy też brak rzetelnego zaznajomienia się ze sprawami, o których się pisze i – co więcej – na temat których wydaje się opinie).

Jest dziś niestety tak, że podstawowy obowiązek – rzetelne informowanie społeczeństwa, jest zbyt często podporządkowany poglądom politycznym samego dziennikarza lub poglądom kierownictwa jego redakcji. Wynika z tego smutny paradoks naszego czasu: nowe „upartyjnienie" mediów, choć tym razem jest to „wielopartyjność".

Oczywiście dziennikarz, jak każdy człowiek, ma własne poglądy polityczne i wszelkie inne i ma prawo do ich wyrażania. Nie ma też nic zdrożnego w tym, iż poszczególne tytuły reprezentują określone nurty polityczne lub chcą służyć interesom określonych grup. Zdrada ethosu dziennikarskiego zaczyna się wtedy, kiedy różnymi metodami (jest ich wiele) oszukuje się czytelnika (widza, słuchacza), tworząc p o z o r y obiektywizmu, mieszając

informacje z ich interpretacją, nie oddzielając wyraźnie faktów od opinii i komentarzy i stosując najprzeróżniejsze manipulacje, by zohydzić przeciwnika politycznego. Z obserwacji polskich mediów wynika, że właśnie tak się u nas dzieje, a rzetelne, obiektywne pisma należą do rzadkości.

W sumie – sprawa znów sprowadza się do braku odpowiedzialności za słowo.

Audycje informacyjne w radiu i telewizji (publicznej, państwowej) z samej swej istoty nie powinny w ogóle służyć celom jakiejkolwiek partii czy grupy interesów. Jest to bardzo trudne do osiągnięcia, ale chyba możliwe.

Być może w tym miejscu należy też wyraźnie stwierdzić, że obiektywizm informacyjny i jasne przedstawienie do osądu opinii społecznej różnych opcji, różnych stanowisk nie oznacza relatywizowania wartości. Relatywizowanie wartości, ich zamazywanie, obojętność wobec nich – to jest również postawa polityczna, wyraz bardzo określonej propagandy. Są to kwestie bardzo trudne, godne odrębnej dyskusji – teraz chciałbym jedynie powiedzieć, iż właśnie relatywizm moralny i całkowita niemal obojętność wobec „ukrytych deprawatorów" wydaje się najbardziej charakterystycznym symptomem nie tylko mediów, ale całej naszej rzeczywistości społecznej.

„Ukryci deprawatorzy" – to termin użyty przez Jana Pawła II w odniesieniu do dziennikarzy (w ogóle odnosi się chyba do osób wypowiadających się i działających publicznie, mających wpływ na świadomość i postawy ludzi). Termin ten określa sprzeniewierzających się ethosowi dziennikarskiemu i własnej „wewnętrznej wolności".

Ponadto istnieją inne zagrożenia:

2. „Urynkowienie" mediów oznacza konieczność zdobywania przez nie zysku lub przynajmniej samofinansowania się. W polskich mediach powstała więc nowa jakość: zderzenie tradycyjnego pojmowania mediów jako informatora i forum wymiany poglądów z pojmowaniem ich jako przedsięwzięć nastawionych na zysk. Nastawienie na zysk skłania do pogoni za sensacją, rozrywką, „papką umysłową" – i wypiera problematykę trudniejszą, poważną, jednym słowem, obniża poziom prasy, radia i telewizji.

Jest w świecie rzeczą normalną, że obok mediów poważnych, współtworzących kulturę ogólną – istnieją media „lekkie", poświęcone rozrywce lub wykorzystujące różne ludzkie snobizmy. Jest rzeczą nienormalną, kiedy prasa brukowa (też istniejąca wszędzie) pełni rolę instrumentu politycznego i wspiera siły zachowawcze, związane z dawnym reżimem totalitarnym. Tak właśnie dzieje się w Polsce, a taką rolę spełnia pismo J. Urbana „Nie".

Ogólnie zaś gwałtowny rozwój w Polsce pism sensacyjnych, rozrywkowych, porno lub półpornograficznych stanowi poważne zagrożenie dla pism poważnych, publicystycznych. Inaczej mówiąc – prasa „lekkiego kalibru" i niskiego poziomu wypiera z kiosków tytuły chcące służyć informacji i publi-

cystyce. Zapewne jest to zjawisko przejściowe, jednak w specyficznych warunkach polskich straty mogą być trudne do odrobienia.

3. Istotnym zagrożeniem jest gwałtowny spadek czytelnictwa prasy. Jest to zjawisko światowe – słowo drukowane wszędzie wypierane jest przez telewizję; skutki tego trudne są do oceny. W Polsce dochodzą jeszcze nowe czynniki: zubożenie społeczeństwa, wzrost (relatywny) cen prasy oraz całkowity upadek kolportażu. W każdym razie sytuacja jest taka, że słowo drukowane w ogóle nie dociera do wielu wsi, w małym stopniu dociera do niektórych niewielkich miast. Rozkład kolportażu oceniam jako sprawę polityczną – ponieważ właśnie dystrybucja tytułów wykorzystywana jest jako instrument walki politycznej. Coraz więcej osób rezygnuje w ogóle z czytania prasy.

4. Zjawiskiem dostrzeganym również w skali światowej i coraz wyraźniej widocznym w Polsce jest rosnący k r y z y s z a u f a n i a wobec środków społecznego przekazu. Ciekawe, iż ów kryzys dotyczy przede wszystkim krajów demokratycznych i postkomunistycznych, a w o wiele mniejszym stopniu objawia się np. w krajach Trzeciego Świata.

Kryzys zaufania (stwierdzony w licznych badaniach opinii publicznej, zwłaszcza w USA) wynika, jak się wydaje, przede wszystkim z ogólnego upadku ethosu dziennikarskiego, z niedbałości dziennikarzy o wiarygodność mediów.

W Polsce kryzys zaufania „do tego, co się pisze i mówi" w mediach połączony jest z wyjątkowym brakiem dystansu i krytycyzmu również „do tego, co się pisze i mówi" publicznie. Jest to ciekawy paradoks – bardzo wyraźna nieufność połączona z przesadną wiarą w moc słowa, wiarą w siłę (najczęściej złą) tego, „co napisane" lub „co powiedziane". Paradoks ten jest również pozostałością czasów na szczęście minionych. Nie trzeba dowodzić, że ideałem byłaby sytuacja odwrotna. To znaczy, możliwie największe zaufanie wobec mediów – w tym sensie, iż można uznąć, że są wiarygodne, a manipulacja informacją, brak obiektywizmu i podobne grzechy dziennikarskie są rzadkie, łatwo uchwytne i natychmiast tępione. I z drugiej strony – pewien krytyczny dystans do mediów, uznanie ich za środek do zdobywania informacji ze świadomością, że ani artykuł w prasie, ani audycja w radiu czy telewizji nie są wyrocznią przesądzającą cokolwiek.

5. Kolejnym zagrożeniem dla mediów są coraz liczniejsze u nas próby ograniczania dostępu do informacji. Zjawisko to występuje w różnych wymiarach – poczynając od lekceważenia obowiązku informowania opinii publicznej przez osoby pełniące funkcje publiczne, poprzez utajnianie pewnych działań różnych partii, organizacji czy instytucji publicznych, aż do ograniczeń ustawowych. Na przykład, we wrześniu 1991 r. były rząd premiera Bieleckiego zgłosił do Sejmu projekt ustawy o ochronie tajemnicy państwowej i służbowej. Projekt odbiega na niekorzyść od innych tego rodzaju

ustaw w krajach demokratycznych, ponieważ nie wylicza informacji objętych ochroną, powierzając określenie tajemnicy państwowej Radzie Ministrów, a służbowej – kierownikowi(!) odpowiedniej instytucji. Oznacza to, iż instytucje i urzędy same miałyby decydować o tym, co zechcą lub czego nie zechcą przekazać opinii publicznej. Mam nadzieję, że takiej ustawy Sejm nie uchwali...

Skupiłem się na trudnościach i zagrożeniach polskich mediów i na wadach naszego dziennikarstwa. Byłoby jednak niesprawiedliwością nie dostrzegać zasadniczych zmian, będących wstępem (na razie jednak ciągle jeszcze tylko wstępem) do rozwoju „normalnych", służących demokracji środków przekazu. Jestem pewien, że istota tego rozwoju polega na przemianie samych dziennikarzy, na ich zdolności do osiągnięcia „wewnętrznej wolności". Być może musimy czekać, aż wyrośnie nowe pokolenie dziennikarzy, rozumiejących znaczenie swojej służby społecznej. W każdym razie wszystko inne w sferze mediów stanowi tylko warunki uzupełniające – warunkiem koniecznym ich uzdrowienia jest po prostu niesprzeniewierzanie się dziennikarskiej rzetelności.

Jeszcze uwaga ostatnia: w mediach, jak i wszędzie, toczy się walka. Frontów jest wiele: o cele polityczne, o władzę, o urobienie opinii publicznej, o interesy własnej grupy, o konkretne rozwiązania różnych nękających nas problemów. Ale walka najostrzejsza i w pewnym sensie najbardziej rzeczywista toczy się o w a r t o ś c i i o s t o s u n e k d o n i c h. Prawdziwą wojnę wartościom wydali nie ci, którzy je jawnie negują, ale ci, którzy je lekceważą i zamazują, bo i tak, wszystko jest względne i nie sposób ocenić dobra i zła, zależnych od okoliczności, od „punktu widzenia", od polityki, od czegokolwiek...

Polskie środki przekazu ciągle jeszcze szukają swojej drogi. Sądzę, że ją znajdą.